



Sławomir Mrugowski "Strzygonia" (fragment)

Fahrenheit Crew

Niedorostek wszedł za Barwinem. Uczniowie zostali na dworzu. Drzwi zawarły się z trzaskiem. W kontynie czuć było dymem, palonym piołunem, jałowcem i czarnym bzem. Zapadła cisza, jakby przejście przez próg, pod niskim ościeżem stanowiło krok poza granicę rzeczywistości. Nyjana Przeniknął chłód. Może jednak sprawił to strach przed tym, co stać się musiało. Chłopak czuł jak sztywnieją mu nogi, ręce. Jak bezwolne stają się jego myśli. Kolejny raz. Który to już?!

Świątynię rozświetlały ogniki kaganków wzdłuż ścian. W głębi do samej prawie powały wznosił z kamiennego kręgu obelisk pień, sękaty i węzlasty. Oświetlone pulsującym światłem postaci zakłete w posągu wyglądały jak żywe. Twarze ukryte między zgrubieniami poruszały bezgłośnie ustami i chudymi rękoma, ich włosy się wiły sennie.

- Chodź. - Głos kapłana był suchy, matowy i obojętny. Nyjan usłyszał w nim przekonanie, że i tym razem nic się nie wydarzy..Westchnął, zagryzł usta. Pragnął mieć to już za sobą. Upokorzenie, potem rozczarowane spojrzenie Barwina i pełne gorzkości „Precz!” na odchodnym. Po czym znów Nyjan będzie wyśmiewany, objany, a baby zagonią go do roboty, jakiej nie chcieli wykonywać nawet ostatni z posługaczy. Postanowił już, co zrobi. Wybrał przyszłość. „A to... - pomyślał z zimną determinacją,...to już ostatni raz”. Zacisnął pięści, zamknął powieki.

Kiedy otworzył oczy, nie mógł uwierzyć.

Pod drzewną figurą stała Naraj. Naraj o wiotkim ciele, smukła jak leszczyna, z czarnymi włosami opadającymi lśniąco falą na ramiona. Jeśli był to sen, Nyjan nie chciał się budzić.

- Podejdz, Nyjanie. - Jej głos brzmiał jak szum wiatru, szelest liści, szmer wody. Chłopak poszedł. A Naraj nie zniknęła. Z każdym krokiem coraz intensywniej czuł jej zapach. Wchodził w tę woń niby w krainę mgieł, w samą Nawię, bezwolny i pozbawiony myśli.

Przyjął od kobiety czarę z napojem. Wziąłby od niej wszystko. Przez moment dotknął palcami jej palców. Były chłodne. Poczł dreszcz .

- Wypij. - Nyjan nie potrafiłby odmówić nawet, gdyby podała truciznę. Wypił. Nie poczuł smaku. Jego oddech zaczął jednak przyspieszać. Oddał naczynie. Starł się zapanować nad drżeniem, ale był za słaby. Naraj objęła chłopaka ramieniem. Położyła go na tej samej ławie, gdzie wcześniej leczyła Żmija. Klęka obok.

Wokół zapadła ciemno. Znikły świetliki kaganków. Zgasła poświata przy posągu. Czerń wlała się przez usta i nos w ciało młodzika, w jego myśli. Gęsta i lepka, obezwładniająca. Zimny nurt unosił Nyjana i kołysał. Chłopak miał wrażenie, że wiruje. Wreszcie stracił poczucie kierunku. Nie czuł ciała. Chciał krzyczeć, ale nie miał ust ani płuc. Pragnął wypłynąć, wynurzyć się z tej kipieli. Ręce i nogi nie odpowiadały jednak. Pozostało samo przerażenie. Tym się stał. Bezbrzeżnym strachem.

Dochodził już do tej granicy. Do bramy szaleństwa. Wtedy rozdierała się powłoka, przychodziła jasność i świat przyjmował go w swoje kolczaste objęcia. Teraz jednak Nyjana odrzucił. Oddał Śmierci. Nyjan to zrozumiał. W przebłysku ujrzał twarz Barwina, zimną i obojętną, odwracającą się od martwego ciała syna. To Barwin. Oddał go Białej Pani, Morze. Usunął ze swojego świata, jak pomyłkę, największy błąd. Barwin, który nienawidził syna. A teraz Nyjan znienawidził Barwina. Znienawidził i przeklął.

Przepeliła go rozpacz. I wtedy chłopak zobaczył ją. Taką jak w odmęcie, kiedy wdarła się między rusalki, topielice i wodniki. Gdy w szaleństwie mordy barwiła wodę karmazynem krwi. Upiorzyca nadleciała bezgłośnie. Przez chwilę trwała obok, jakby czekała na znak. Potem wniknęła w jego Nyjana. Szponami rozerwała woal strachu, śmiertelne płótno beznadziei i rezygnacji. Przyniosła nieopisany ból. Cierpienie czysto cielesne przywróciło dzieciakowi poczucie materialnego bytu, wydobyło go z czarnej, smolistej topieli. Zawył niczym wilk.

Zawodzenie poderwało z pólśnu uczniów pilnujących drzwi do kontyny. Zaskoczyło też Ślebodę podkradającego suszone mięso z ojcowego stryszka, zmroziło Wizuja, który doglądał właśnie spłoszonych krów, wstrzymało wpół ruchu Często, drapiącego się w kroku i poderwało Radocha podglądającego siostrę w kąpieli tak, że rąbnął w blat stołu, pod którym się schował. Wrzask pobudził tych, co już spali, poniósł się po falach jeziora. Słyszając go kilka osób przezornie odsunęło się od brzegu, a ci, którzy zastanawiali się nad przejściem na wyspę, porzuciło plan.

Dzieciak zaś rzucał się, wierzgał jak palony ogniem, rwał sznury, kaleczył sobie nadgarstki i kostki. Żyły wystąpiły mu na czole, na szyi, na ramionach. Zdawało się, że zaraz pękną i tryskająca krew wsiąknie w polepę.

Naraj ukryła głowę w ramionach. Dygotała.

- Obrę. - rozkazał Barwin. - Wołaj mi Obrę. Prędko. -

Szarpnięciem podniósł dziewczkę i zmusił, by pobiegła, a potem położył dłonie na czole chłopaka i zaczął mrużyć niezrozumiale. Dzieciak przestał wyć, ustały spazmy, poza lekkim drżeniem.

Kapłan odjął ręce. Nyjan otworzył oczy. Były czerwone, nabiegłe krwią i świeciły jak u wilka.

- Co mi zrobiłeś?! - wychrypiał. - Co mi zrobiłeś?!

Szarpnął się w pętach, ale nie puścili. Spojrzał na Barwina.

- Nienawidzę cię! Nienawidzę! - Wyszczrzył zęby niczym zwierzę. - Za wzgardę i poniżenie. Nie chciałeś mnie za syna. Wstydiłeś się i pozwalałeś by mną pomiatano. Nie, nie jesteś moim ojcem. Nigdy nie byłeś.

- Nyjan... - wyszeptał kapłan. Przez chwilę wydawało się, że chce coś wytłumaczyć. Chłopak zamarł. Czekał. Barwin nie powiedział jednak już nic więcej.

- A teraz... - W słowach chłopaka była gorycz. - Teraz przeklinam cię. - Splunął pod nogi Barwina. - Prze...

Gdy do świątyni weszła kolebiąc się na grubych nogach wiedźma Obra, kapłan wydał jej polecenia i wyszedł. Stara bez zbędnej delikatności zajęła się dzieciakiem. Dwoma ruchami obmyła mu twarz. Chlusnęła zawartością kubła na tors i niżej. Obsypała ziołami polepę dookoła ławy mamrocząc zaklęcia.

Wtedy Nyjan zaczął znów krzyczeć.

I już nie przestał.

Mgliste, bezcielesne nawie; ukryte w siwym oparze wkradały się przez szczeliny między deskami ścian, wiły się i przyjmowały wygląd postaci - niekiedy wydawało się Strzygoni, że poznawał twarze z przeszłości, - dotykały kształtów, upajały się ich materialnym ciężarem i zrozpaczone znów stapiały się w jednolity tuman. Niespiesznie oswajały go jednak ze swoją obecnością, aż wreszcie otulony oparem pełnym westchnień niczym śnieżną pierzyną Strzygonia czuł, jak lodowaty oddech widm przenika przez skórę, usztywnia mięśnie i spaja kości...

Widział wtedy własne ciało, jak pręży się i unosi się zlane potem. Myśli nagle rwały się jak przęda i nic nie łączyło go już z bezwładną, porzuconą kukłą. Widziadła unosiły jego nagą, przezroczystą świadomość w przestrzeń pełną ich niemej obecności. Wiedział, że pragnął uwolnienia, ale nie potrafił nic więcej, jak tylko dzielić ich rozpacz. Nie był niczym więcej jak pustym dzbanem, w który wlewały swoje szaleństwo, cierpienie i nienawiść zrodzone z samotności i zapomnienia. Ten ciężar spychał go nad krawędź i widział Otchłań. Rozkładał więc ręce, aby poszybować, pragnął ukryć się w niezmiernie głębokim, zostawić za sobą przeszłość i niepewność przyszłości...

W takich chwilach zjawiała się Opiekunka. Wnikała w myśli i czucia. Strzyga zawracała chłopaka z drogi; bała się, bo wiedziała, że kiedy on umrze, ona umrze wraz z nim...

Opowiadania publikowane były wcześniej w Nowej Fantastyce, Science Fiction oraz w Esensji i Fahrenheicie..